Ner 5. Kraków, dnia 1go Marca 1872. Rok IV.

WŁOŚCIANIN.

Pismo dla ludu.

Włościanin wychodzi 1 i 16 każdego miesiąca. — Włościanin kosztuje rocznie Zł. 3 w. a., półrocznie Zł. 1 cent. 50, kwartalnie cent. 75. — Ktoby sobie życzył przesłać z przedpłatą na „Włościanina“ zarazem i przedpłatę na „Zagrodę“ — płaci za oba pisma: rocznie Zł. 4 cent. 60, półrocznie Zł. 2 cent. 30, kwartalnie Zł. 1 centów 15.
(Zagroda wychodzi 8 i 24 każdego miesiąca.)

POCZCIWOŚĆ i PRACA.

— Oj, tak, tak, panie Bartłomieju! — mówiła stara Maciejowa siedząc przy kominie, i przysuwając do ognia garnek, w którym się gotowały ziemniaki na wieczerzę. Oj, tak, człowiek się nabiedzi, nakłopota, naugania za tem i za owem, nie dośpi, nie doje, nadrepcze się, jakby koń we młynie, i na tem koniec. A innym przecie wiedzie się, jak z płatka, mają wszystkiego po uszy, opływają w dostatki, nieprzymierzając, jakby pączki w maśle. Oj, dziwnieć to jakoś dzieje się na świecie!

— Nie gadałabyś, moja pani Maciejowa, próżnych słów, odrzekł Bartłomiej siwy starowina, który siedząc na ławce, ogrzewał przy ogniu stare kości. Wielka to obraza Boska narzekać, kiedy Pan Bóg dał ci i tak nie mało z miłosierdzia swego. Chłopak oto sprawia ci się nie źle, nie zagląda do szynkowni, nie goni wiatru po świecie, a i majster chwali go, że pracowity i pilny. I dziewczyna oto skromna, cicha, pilnuje roboty, nie żadna wietrznica, jak to Panie odpuść, tyle innych na świecie. Podziękować Bogu, — matko, i nie trwonić słów marnych, żeby Pan Bóg nie ukarał, że nie szanujecie Jego łaski.

— Bóg widzi, że ją szanuję, odrzekła kobieta, spoglądając z boku z rozjaśnionem okiem na syna pięknego dwudziestoletniego młodzieńca i córkę, hożą jak kwiat, ośmnastoletnią dziewczynę, którzy siedząc obok siebie na ławie w kącie izdebki, rozmawiali swobodnie, jak to zwyczajnie w niedzielę, gdy po całotygodniowej pracy, Pan Bóg daje chwilkę spoczynku. Ależ, mój panie Bartłomieju, dodała Maciejowa, dla tego samego, że Pan Bóg pobłogosławił człowiekowi na tych oto dzieciach, nie dziwota, że człek radby im nieba przychylił ku ziemi. A tu wszystko idzie, jakby z kamienia, chleb drogi, komorne drogie, opał drogi, więc co się zapracuje w czoła pocie, to się wszystko rozlezie na konieczne potrzeby; a jakby przyszła choroba, to aż strach bierze pomyśleć.

A Pan Bóg? a Jego święta Opatrzność, a Jego nieprzebrane miłosierdzie! — O! przerwał Bartłomiej, — czyście to zapomnieli matko, co mówił dziś ksiądz na kazaniu? Wszak on mówił, że „Ten co przyodziewa kwiaty polne, co karmi ptaki powietrzne, miałżeby przepomnieć człowieka, którego stworzył na obraz i podobieństwo swoje?“

— Prawda, prawda, odrzekła Maciejowa, wy zawsze mądrze mówicie, mój panie Bartłomieju, to też, jak się z wami nagawędzi człowiek w niedzielę, to mu jakoś na cały tydzień przybywa odwagi. Niechże wam Pan Bóg stokrotnie za to zapłaci.

— Oj, bo też to odwagi potrzeba, żeby umieć dźwigać ten krzyż żywota, który się ludziom tak ciężkim wydaje. Dźwignijmy go tylko z odwagą, z dobrą wiarą, a stracimy połowę ciężaru, odparł Bartłomiej, zażywając tabakę, bo wierzcie mi matko, Pan Bóg włożył na barki człowiekowi jeno tyle, ile on unieść podoła. Prawda, ciężkie życie, niema co mówić, ale przyznaj, że my sami i próżnym frasunkiem i narzekaniem utrudzamy je.

Mówcie sobie ojcze, co chcecie, ozwał się młody Janek kowalczyk, przysuwając się do ognia, ale miło to jednak być musi tym, co bez mozołu, bez trudu, używają wszystkiego, ile sami zechcą; co im to pieczone gołąbki wpadają same do gąbki.

— Mają i oni swoje kłopoty, a kto wie,

czy nie cięższe, jak nasze, odparł stary Bartłomiej. Przecież ja to przez długie lata ocierałem się przez pańskie drogi, to też śmiało rzec mogę, że nie wszystko złoto, co się świeci, — co prawda, nie dokuczy im głód, ani zimno, ale za to, dokuczą im inne dolegliwości, o jakich my ani pojęcia nie mamy.

— Zwyczajne wymysły, odparła Maciejowa, potrząsając głową. Dopieroż to gadaliście na mnie, ojcze, że sobie niepotrzebne rzeczy przypuszczam do myśli, a teraz oto, przemawiacie za tymi, co im jedno ptasiego mleka nie dostaje, a jednak turbują się i próżno obrażają Pana Boga.

— Winnić i oni, co prawda, rzekł stary, ale też i Pan Bóg nie oszczędza im chłosty; są bowiem na świecie nieszczęścia, od których człowiek nie wykupi się pieniądzmi. Tak na pana, jak i na biedaka zsyła Pan Bóg śmierć i chorobę, każdy, co żyje upaść może na duchu, zgrzeszyć, a zatem cierpieć musi, a im wyżej kto postawiony, tem mu życie trudniejsze, bo większy ma rachunek do załatwienia z Bogiem.

— Snadno to załatwić rachunek, — rzekł Janek, kiedy jest z czego zapłacić. Już tam, co do mnie, nie gniewałbym się wcale, żeby mi się udało wynaleść jaki skarb ukryty w ziemi. Nieraz, jak kuję młotem w kuźni, to aż mi głowa pęka od myślenia, co jabym też robił z pieniędzmi, żebym je znalazł, jakim cudownym sposobem. Zaraz oto kupiłbym matce śliczną, jedwabną suknię, coby w niej wyglądała, jakby jaka księżna.

— Dziękuję ci, mój Janku, za dobre chęci, odrzekła, śmiejąc się Maciejowa. — Ależ pięknieby wyglądała moja jedwabna suknia, — jakbym zaczęła w niej, jak teraz, wygarniać ziemniaki z popiołu.

— Tobym ci też nie dał, matko, pracować, rzecze Janek, miałabyś sługi na zawołanie.

— A cóżbym sama robiła, mój Janku! — Oj, nudno by też było siedzieć cały dzień Boży z założonemi rękoma!

— Bartłomiej w tem uśmiechnął się nieznacznie, pokiwał głową, i zażył niuch tabaki, kiedy wtrąci Zosia:

— No, i cóżbyś dalej robił z pieniądzmi?

— Dałbym ci posag siostrzyczko! a przy posagu jeno patrzyć a znalazłabyś męża.

— Dziękuję ci za tę łaskę mój Janku; piękny mi mąż, cobym go sobie kupiła za posag! Oj doprawdy, wolę nie znać żadnego. Chodzę ci ja po pańskich dworach na robotę, to się napatrzę i nasłucham różnych rzeczy. Nieraz ci tam, nie dziesięć idą za mąż, żenią się dla posagu, ale co z takiego małżeństwa? zawsze jeno Panu Bogu obraza a światu zgorszenie. —

Bartłomiej uśmiechnął się znowu; „no, cóżbyś potem zrobił z pieniądzmi?“ zapytał po chwili.

— Oto, rzek Janek, porzuciłbym młot kowalski, co to popróżno człowiekowi ręce smoli, że ich w niedzielę człowiek i mydłem domyć się nie może i wziąłbym się do innego łatwiejszego rzemiosła.

— Do rzemiosła próżniaku, snadź, rzekł Bartłomiej smutno, bo to zaprawdę ze wszystkich najłatwiejsze, ale wierz mi synu, że ludzie zmądrzeli, i to rzemiosło już dzisiaj nie bardzo popłaca na świecie. Młot zabrudzi ręce! — ale od próżnowania to na wskróś serce przerośnie ci brudem, a jak przyjdzie stanąć na sąd, to Pan Bóg nie oto zapyta, czyli ręce twoje czyste, jeno czyli na sercu twojem nie ma brudnej skazy. Nie rzucaj młota chłopcze! bo to jeno twoje, co sobie nim wykujesz, nie szukaj innych skarbów nad te, jakie Pan Bóg złożył w sercu każdego człowieka, — a niemi są *poczciwość i praca.*

— O, tak synu, poczciwość i praca, to całe bogactwo człowieka, rzekła Maciejowa, — niemi jeno dokupisz się miłości u ludzi i łaski u Boga.

Stacho P.

O PIŚMIE I DRUKU,

POGĄDANKA NIEDZIELNA.

(Ciąg dalszy).

— Mój Macieju! to przed tem zgoła druku nie znano? — ozwał się Antek wściubski.

— Nie drukowano, nie — odrzekł Maciej, pisano tylko. Pismo już od dawien dawna było wynalezione, mało jednak było takich, którzyby umieli czytać, a mniej było takich, którzyby umieli pisać. Za pomocą pisma kształcili się ludzie, wszelako nie wystarczyło ono do rozszerzenia światła nauki, albowiem pisanych książek było bardzo mało. Gdyby byli Grecy, naród na południu tej części ziemi, w której żyjemy, niegdyś mieszkający, druk wynaleźli, byłaby dawniej oświata na ziemi, ponieważ mieli uczonych ludzi, którzy mądre pisali księgi. Już Rzymianie, w drugim kraju przy Grekach ży-

jący, który to kraj dziś Włochami się nazywa, przed upadkiem swoim co tylko nie odkryli druku, bo już byli blizko niego, albowiem wyrzynali na deszczułkach rozmaite słowa i te na naczyniach glinianych wyciskali. Dziwić się atoli należy, że odbijanie słów deszczułkami na naczyniach, co jest wielkiem już podobiestwem do druku, nie nawiodło ich na wynalezienie sztuki drukarskiej. Wzrastałaby ilość książek, a przez to i oświata między ludźmi.

— A jak też ludzie przyszli do wynalazku pisma? — zapytał Szczepan Pietraszek.

— Oto, moi kochani! — odpowiedział Maciej — przenieście się myślą do pewnego kraju, który tuż zaraz rozciągał się przy ziemi świętej czyli Palestynie, gdzie przyszedł na świat najświętszy nasz Zbawiciel Jezus Chrystus, — gdzie nauczał i umarł za grzechy nasze. Kraj ten nazywał się tak coś nie po naszemu Fenicyą. W nim mieszkał bardzo dawnymi czasy przed narodzeniem Chrystusa Pana przemyślny naród kupiecki, który w różnych sprawach kupieckich objeżdżał morzem nawet naszą część ziemi Europę. Otóż ten naród prowadząc różne interesa handlowe, nie mógł się spuszczać na swoją pamięć, ale chciał koniecznie jakim sposobem znaczyć sobie wszystko ku lepszemu spamiętaniu. Znalazł się wreszcie jakiś myślący Fenijczyk, który zauważał, że w mowie znajdują się słowa, a w nich głosy. Przez długi namysł doszedł nareszcie do tego, że w całej mowie i we wszystkich słowach jest tyle a tyle głosów, które się w tem lub owem słowie powtarzają. Na te głosy wymyślił sobie pisane znaki, których było tyle, ile głosów razem było w całej mowie. Z tej więc racyi mógł każde wymówione słowo znakami zapisać dla pamięci, to jest tyle w każdem słowie pisanem dawał znaków, ile było słychać głosów w słowie wymienionem. I dzisiaj tak samo robimy, chcąc sobie coś zapisać. Chcemy np. napisać słowo: kruk, to słyszymy w niem cztery głosy: k, r, u, k, — i tak na każdy głos robimy znak umówiony, a każdy kto tylko umie czytać, czyli wymawiać każdy znak po jego głosie w połączeniu jeden z drugim, dowie się, co napiszemy. Czytanie więc nie jest niczem innem jak łączeniem głosów w jednę całość podług napisanych lub drukowanych znaków. Owemu tedy mądremu Fenijczykowi zawdzięczamy pismo, rozpowszechnione najpierw w narodzie fenickim.

Inaczej było z tą sprawą u innych narodów. Jedne nie znały pisma, inne miały wprawdzie pismo, ale nie każdy umiał je czytać. Do tych ostatnich należą li Egipcyanie, u których żydzi byli w niewoli ciężkiej, dokąd uciekał Jezus z Maryą i Józefem. Ziemia święta czyli dla żydów obiecana, dzisiaj Palestyną zwana, dotąd znajduje się w Azyi, a kraj egipski leżał i leży dotychczas jakby w sąsiedztwie w drugiej części ziemi, w Afryce. Owoż mieszkańcy jego, Egipcyanie, nie mieli znaków na głosy, jak my mamy i jak mieli Fenijczykowie, dla tego gdy chcieli co napisać, to znaczyli wszystko obrazkami. N. p. gdy chcieli napisać słowo *człowiek*, to wymalowali głowę człowieka, a ona oznaczała człowieka całego. A gdy chcieli wypisać taką rzecz, która się obrazkiem nie da przedstawić, jak np. pilność, siłę, to malowali woła, a on oznaczał siłę, a pszczoła, to oznaczała pilność. Głowa więc człowieka, wół i pszczoła razem wymalowane, znaczyły: człowiek jest silny i pilny. A gdy chodziło o to, który człowiek, to mu dawali rozmaite oznaki, podług tego, czem się zajmował i jaki urząd sprawował.

Łatwo sobie ztąd wyobrazić, że pismo takie obrazkowe było bardzo trudne do czytania, bo sobie każdy podług domysłu tak lub owak mógł czytać. Pisma zaś naszego nie można tak przekręcać, bo wszyscy ludzie, zgodziwszy się na jedno i to samo znaczenie każdego znaku, jednakowo to lub owo słowo przeczytają.

— A to rzecz ciekawa — wtrąciła Katarzyna.

— A na czem też pisali ludzie dawnymi czasy? — zapytał Grzegórz.

— Ha! moi mili! — odrzekł Maciej — pewnie nie na takim papierze, jaki mamy dzisiaj. W Egipcie rosły krzaki zwane po polsku ciborą papirusową, których korzenie palono jak drzewo, z pieńków wyciskano sok pożywny, a paski z łyka kładziono obok siebie, polewano wodą, gładzono i tak robiono papier, upowszechniony nawet po narodzeniu Chrystusa przez 10 wieków. Pisano także na pewnych liściach, na korze, płytach kruszcowych i na pargaminie czyli oślich skórach, tak wyprawionych, iż na nich dobrze pisać było można. Królowie polscy, dając przywileje, dla trwałości na pargaminie takowe pisać kazali. I dzisiaj ważniejsze dokumenta bywają pisane lub drukowane na pargaminie.

W tysiąc lat dopiero po narodzeniu Zbawiciela zaczęto wyrabiać dzisiejszy papier z bawełny, płótna, szmat i gałganów na miazgę ubitych.

Na to rzekł Grzegórz:

— To dawniej były tylko same pisane książki na papierze?

— Tak jest! — odparł Maciej.

— A któż pisał te książki? — zapytął Antek.

A Maciej na to:

— Jużcić tak jak i dzisiaj uczeni i myślący ludzie. Ażeby ich jednak było więcej, przepisywali je w klasztorach zakonnicy, mając dosyć czasu i spokojności. Jedna książka nie mogła dogodzić ludziom. Trzeba ją było przepisywać. Nie szło to tak prędko, jakby szło dzisiaj, bo do tego trzeba wielkiej wprawy. — Książki przepisywane były bardzo drogie i nie lada kto mógł je posiadać; nie lada kto umiał je przeczytać. Dzisiaj weźniemy trochę octu, trochę wody, dodamy gumy arabskiej, potłuczonych galasówek czyli dębianek i sproszkowanego, poprzednio w cieple wybielonego koperwasu i mamy gotowy atrament, którego nadto bądź gdzie w sklepie dostaniemy. Dawniej, nieraz w wielkiem mieście, było go zaledwie kilka kropel.

Patrzcie, co za niewygoda! Możni panowie, ba i książęta nawet, nie umieli pisać. — Rzadko który umiał podpisać swoje imię lub nazwisko. Tacy, którzy pisać nie potrafili, trzymali na dworach swoich, dla samego tylko pisania osobnych ludzi, którzy za bardzo uczonych uchodzili. Pisanie było liczone do sztuki czarodziejskiej i świadomego tej sztuki łatwo nazywano czarnoksiężnikiem, co się im w głowach pomieścić nie mogło, jak to można pisać i z pisma dowiedzieć się, o co chodzi?...

— A cóż mi to byli za książęta — odezwał się Antek wściubski — kiedy ani pisać nie umieli? U nas już pięcio lub sześcioletnie dziecko czytać i pisać umie!...

— Dobrze, mój Antku — rzekł Maciej — że teraz są szkoły, gdzie tego uczą z łatwością, ale dawniej tego nie bywało. W dawniejszych czasach mało było uczonych, to tez i książęta nimi nie byli. Kto umiał pisać, miał nazwę uczonego, a któż w naszych czasach nazwie dziecko uczonem dla tego, że czytać i pisać może? Czytanie i pisanie miało wtedy tak wielką wartość, że więźnia umiejącego tę sztukę, uwalniano od śmierci. Dziś z łatwością uczą się dzieci czytania i pisania; podołają temu i starsi, gdy tylko trochę mają ochoty. Książek dawniej było bardzo mało. Te, co były, dostawały się tylko do pałaców książąt i monarchów, którzy je jako ozdoby do swych pokoi używali.

Płacono za nie ogromne sumy, ale bo też z mozołem były pisane, kosztownemi farbami upiększone.

Ludzie ubodzy nie mogli z nich korzystać, — bo i kogóżby było stać na kupienie takiej książki?....

— Mój Boże! a jak to dziś łatwo o książki! — zawołał wściubski Antek — ile ich to teraz nadrukują; a do tego za takie małe pieniądze!..

— Przekonaicie się więc, moi mili! — powie Maciej — o ile to dzisiaj może być przyjemniejsze nasze życie.

Nałożył sobie fajkę, zapalił i prosił o chwilę wypoczynku. Niecierpliwy Antek, jakby chciał wyręczyć Macieja, tak się odezwał:

— Będzie temu prawie trzy miesiące, gdy mię nasz organista namówił, by z nim iść do Krakowa do drukarni, bo miał tam kupować jakieś druki dla naszego księdza proboszcza.

Poszedłem. — Przybywszy pod drukarnię, zmięszałem się okrutnie; dziwny mię lęk ogarnął (chociaż dzisiaj śmieje się sam ze siebie) bo jeszcze nie byłem nigdy w takiem miejscu, a dziwa mi opowiadano o drukarni. Z okrutnym strachem wchodzę do izby.

— O Matko Boska! — szepnąłem do siebie, gdy usłyszałem jakiś łomot.

Jakieś zimno przeszło mię po kościach, — gdy się w około rozglądnąłem i nie czułem nawet czy mam nogi pod sobą. Pełno tam było ludzi, którzy jakby jakie gwoździki wyjmowali z przegródek, a gdzieś na boku obracały się koła i jakaś maszyna turkotała....

— Ależ nie bój się, człowieku! — przemówił do mnie jakiś pan porządnie ubrany, zapewnie przełożony drukarni.

— To on przecie katolik i Polak, kiedy po naszemu odzywa się do mnie! — pomyślałem sobie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Od Redakcyi.

Nie mogliśmy we właściwym czasie przesłać 5. numeru, ponieważ nam go zabrała C. k. Prokuratorya.

Kierujący pismem: Fr. Ksaw. Martynowski.
Redaktor odpowiedzialny: H. Jordan.

W Drukarni W. Korneckiego i Spółki w Krakowie.

Wydawca S. Jordan.